

O RÓŻNOŚCIACH

CZEŚĆ 14

Rok 1980. Czuję się fatalnie. Od około dwóch miesięcy mam dziwny ucisk z lewej strony piersi, pod obojczykiem, uniemożliwiający normalne funkcjonowanie. Jakbym nie mógł oddychać. Pracowałem wówczas w przedsiębiorstwie geodezyjnym przy ulicy Kossutha w Katowicach. Wychodziłem na korytarze, spacerowałem. Nie wiedziałem, co z sobą robić. Widział to szef naszej brygady. Opowiedziałem mu, że jest źle z moim zdrowiem, a dwaj lekarze, u których byłem, nie wiedzieli, co mi dolega. Podpowiedział, abym się skontaktował z jego kolegą, złotnikiem, mającym warsztat w jednej z oficyn przy ulicy 3 Maja. Podobno zna jakiegoś zielarza, który mógłby mi pomóc. Poszedłem. Rozmawialiśmy długo. Opowiadał o księdzu Zygmuncie Kilijanku z Zelowa. Był znany w całej Polsce. Pojechałem samochodem z siostrą. Zapamiętałem drewniany baraczek, nieduży, zlokalizowany gdzieś na działce. W każdym razie na terenie zielonym. Sporo ludzi. Dostałem numer i cierpliwie czekałem Trochę się martwiłem, bo on czytał z oczu, a ja jedno miałem całe opuchnięte po niedawnym zapaleniu wywołanym odpryskiem wapna przy bieleniu drzew w Panewnikach. Puk, puk, wchodzę. Ksiądz przykłada dużą lupę i mówi: krew zamiera. Trzeba było wcześniej przyjść. Brać mieszkankę ziół, będzie dobrze. Spojrzałem na kartkę, a tam same zawijasy. Uśmiechnął się i kazał przejść do sąsiedniego pomieszczenia. Tam kartkę brała jakaś pani i przepisywała czytelnie na inną. Do dzisiaj je zachowałem. Wróciłem do Katowic, wykupiłem ziółka i zaraz zacząłem pić 3 razy dziennie według jego wskazań. Dołożył jeszcze 4 zioła na przemywanie oczu, coś do kąpieli oraz gorczycę czarną, którą trzeba było namoczyć w spirytusie i nacierać ciało. Trudno ją było w tym czasie kupić. Minął miesiąc, a dolegliwości nie ustępowały. Straciłem nadzieję, aż pewnego dnia po upływie prawie półtora miesiąca, ucisk zelżał, a kilka dni później całkiem ustąpił. Nie chciało mi się wierzyć. W następnej części dokończę wspomnienia o księdzu.

A jak u nas z ochroną środowiska? Kto żyje w zgodzie z naturą? Czy ci, co smrodzą, opalając domy słynnymi kopciuchami? A może jeżdżący samochodami chyba już wszędzie, z rurami wydechowymi pełnymi szkodliwych związków? No to może „dostarczający” w powietrze kolorowe, czarne dymy z kominów, przenoszące rozmaite trucizny na tereny nie tylko wokół, ale na trudną do oszacowania odległość, wywołującymi często kwaśne deszcze? Podejrzani są, a raczej pewni co do swoich niemoralnych intencji wycinający ponad wszelkie potrzeby dżungle, lasy, puszcze, i podobne zbiorowiska roślin na skalę już niewyobrażalną, a raczej wyobrażalną, bo pokazują skutki tej działalności satelity krążące wokół ziemi. Wszyscy widzimy powierzchnię naszej planety tonącą powoli w odpadach coraz mniej usuwalnych materiałów wyprodukowanych przez nas (np. plastik). A jak z glebą dostarczającą nam żywności bezpośrednio i pośrednio poprzez inne organizmy czerpiące z niej pożywienie? Czyżbyśmy ją truli dokumentnie, „zasilając” zgubnymi dla niej i dla nas chemikaliami? Czyżbyśmy nie degradowali środowiska naturalnego z powodu nadmiernej emisji gazów cieplarnianych? Czy pokrywa lodowa topi się bez naszego udziału? A może wiele gatunków zwierząt i roślin ginie również bez naszego udziału? A w poszerzaniu się dziury ozonowej to inni są winni, czy my? To zaledwie znikoma część przykładów działalności człowieka na Ziemi, prowadzącej do, co tu dużo mówić, samozagłady. Pisanie o tych sprawach choćby w ostatnich kilkadziesiąt latach

coraz więcej wydaje się niewiele pomagać czy uczyć. Spowodowało m.in. nasze zobojętnienie. Czyżbyśmy ufali naszym zdolnościom poprawy coraz gorszego środowiska przyrodniczego? Wszystko pod siebie, dla siebie i w ten głupi dzień.

Wiele jest stron internetowych poświęconych różnym pokoleniom i różnicom między nimi. Jedni nie rozumieją drugich. Podziały na takie czy inne pokolenia dla mnie nie mają znaczenia. Dysonans międzypokoleniowy był zawsze, choć jak się on przejawiał w dawniejszych czasach, informacji jest niewiele. Postrzeganie starych przez młodych i odwrotnie nasiliło się w ostatnich latach wskutek szybkich zmian zachodzących w komunikacji ogólnoludzkiej. To one w znacznym stopniu przyczyniły się do, dla mnie niezrozumiałych, napięć międzypokoleniowych. Należy się im przyglądać z jakby różnych punktów widzenia. Młody człowiek na ogół zawsze się buntował. Po latach przechodził jakby ewolucję. Po prostu widział, że niewiele może zmienić na tym świecie, więc wycofywał się „z buntu”, bo miał tego dość. Niektórzy pozostawali w opozycji do czasu wywalczenia tego, co chcieli. Ale tych było niewiele. Raczej rozgrywali osobiste sprawy. Urodzony na przełomie lat 1945 i 1946, stoję jakby rozkrokiem między tzw. *General Generation*, a tzw. *Baby Boomersami*. Te i dalsze podziały (X–1965–1980, Y–1981–1990, Z po 1990 roku), według lat urodzenia nie mają sensu, to zwyczajne uproszczenia, z wieloma z nich się nie zgadzam. Ani to ludzie określane buntownikami, ani dobrze wykształceni. Znaczą je inne kryteria kompletnie pomijane w licznych rozważaniach, czyli rzetelności, uczciwości, prawdomówności, ale również mądrości i głupoty, choć i te są także uogólnieniami niewiele mówiącymi. Przecież i wśród jednych i drugich są rozgarnięci, inteligentni, zdroworozsądkowi, ale także bezrozumni i nie waham się powiedzieć, zwykłe matoly. Uogólnia się często, że np. że Polacy są tacy, a Francuzi czy Chińczycy tacy. To głupota. We wszystkich tych i innych nacjach są i tacy, i tacy. O tym się jednak zapomina. Komputery, tablety, smartfony itp. urządzenia to tylko narzędzia, i od umiejętności ich użytkowania, wykorzystywania wcale mądrości nie przybywa, a nawet częściej, powiedziałbym, towarzyszy im ogłupienie, ponieważ to najlepsze środki manipulowania zwłaszcza młodymi ludźmi. Na razie tyle o relacjach międzygeneracyjnych.

Czy świat się pogubił? Czy ludzie się pogubili? Czy świat to ludzie? To nic nowego. Świat był zawsze pogubiony i w tym pogubieniu trwał od początku, a razem z nim ludzie. Przecież już Ewa i Adam się pogubili. I tak jest do dzisiaj. Nic się nie zmieniło. Czyli można rzec, jakby ludzkość cały czas żyła w zgubie. A co było przed ludźmi? Według jednych nic, bo wiara w Boga nakazuje im wierzyć, że świat zaczął się dopiero od tych dwóch postaci. Ale inni twierdzą, że nie. Że to nie oni byli pierwsi. Pojawili się późno, a świat już istniał przed nimi. Ale gdyby przyjąć taką wersję, to czy świat przed Ewą i Adamem był pogubiony, czy dopiero oni weszli na tę drogę? Nie będę w stanie dalej brnąć, skoro już na początku się pogubiłem.

Czasy się zmieniły i dawne już nie wrócą. Wszystko zaszło za daleko. Żyjemy w osamotnieniu i oddaleniu. Dotyczy to zarówno młodych, jak i starszych. Na przystankach napisy nawołujące do porozmawiania. Co dawniej było normalne, teraz jest prawie nieosiągalne.

9 kwietnia 2025 roku media internetowe doniosły słowa prezydenta Donalda Trumpa: „Kraje dzwonią do nas, całują mnie po tyłku, dobijają się, by zawrzeć umowę w sprawie ceł”, a wcześniej „cła przynoszą ogromne profity, a kraje, które chcą zawarcia porozumienia, całują go w tyłek”.

Tak sobie staram wyobrazić, jak to całowanie wygląda bardziej z bliska, a także jaki tyłek ma prezydent Stanów Zjednoczonych, że tak się nim chwali. Całowanie na tak wysokim szczeblu musi bowiem być szczególnie. Nie bardzo rozumiem, jak jakiś kraj może całować tyłek

prezydencki. Gdyby jego przywódca (konkretnego kraju) to robił, to jeszcze bym pojął, ale kraj? Odwróciłbym pytanie, jak np. Trump mógłby wycałować tyłek jakiegoś kraju? Inaczej patrząc na rzeczony całowanie, to gdyby wszystkie zainteresowane kraje wzięły się za tylną część prezydenta, to wolałbym sobie oszczędzić jego widoku. Całus całusem, ale nie można przesadzać. Dupcia Trumpa mogłyby tych nawet tylko muśnięć nie wytrzymać. A co dopiero gdyby „kraje” usta szminką pociągnęły. Każde przecież chciałoby się wyróżnić odpowiednim stemplem. Szczególnie Chiny by się o to postarały.

Ponoć 2/3 Amerykanów wierzy w UFO. Nie jestem tym zaskoczony. Imże wszystko można wmówić. Jak oglądam od czasu do czasu programy w telewizji, to widzę, że gdzie tylko spojrzą, co usłyszą, to kojarzy im się z kosmitami. Ciekawe, że pozostałych Amerykanów nakłania do kojarzenia najdziwniejszych przedstawień niewielka grupa pisarzy, ekspertów występujących w każdym z filmów i wpierającym innym, że to nic poza kosmitami być nie może. To wybitni znawcy, a przede wszystkim entuzjaści, można nawet rzec fanatycy. Dziwne, że znajdują ślady przybyszów z Kosmosu w innych częściach świata poza swoim ukochanym kontynentem. Jeśli bowiem latające ludziki gdziekolwiek wylądowały, to najchętniej u nich. Tam jest wszystko naj... Nie ukrywają, że mają najlepszego prezydenta. Zresztą on sam o tym mówi. A poza tym mogli wybrać tylko takiego, jakiego mają najlepszego. A może to jakiś kosmita, bo inteligentniejszy od wszystkich pozostałych.

Nauka chyli się ku upadkowi. Dyscypliny techniczne jeszcze jakoś się trzymają. Upadną z pewnością po zautomatyzowaniu się. Natomiast pozostałe są w odwrocie. Naukowcy już nie wiedzą, co mówią. Zgadują, kombinują i wymyślają rzeczy, chciałoby się powiedzieć, „kosmiczne”. Bajdurzą, czasami z naturalną im skromnością, a czasami z wybujałą fantazją. Dzisiaj nikogo już nie zaskakują. I tak sobie gadu-gadu na milionach stron internetowych, w zaciszach instytutów naukowych, w grajdołach skupiających wyłącznie ich samych wraz z pochlebcami. Nie trzeba dopowiadać, że mało kto ich chce słuchać. Ile można? Po drugiej stronie wszystkich głupców już tak przekabacili, że więcej nie można, a poza nimi niewielu się zachowało.

Każdy ma swoje zabawki. Bawi się całe życie. Inne są te za młodu. Inne na starość. Ale jakby nie patrzeć, to zabawki. Najpierw są misie, kaczusie, pieski i kotki. Dzisiaj, niestety, coraz wcześniej wypierane czy zamieniane na smartfony. Ale w nich też są zabawki, których maluchy wyszukują z wyjątkową, jak na ich wiek, biegłością. Zabawki w przedszkolu są trochę inne. Różne klocki, układanki itp. Potem paluszki coraz szybciej przebierają po szklanych ekranach, poszukując innych zabawek. Z czasem zainteresowania rozszerzają się i zaczynają się bawić znacznie poważniejszymi, że tak powiem, sprawami, czyli z sobą. Dziewczynki z chłopcami, i odwrotnie. Zabawa ta się przeciąga, raz krócej, raz dłużej, i jak już się nabawią, coś tam przy okazji zmajstrują, nieopatrznie bądź z rozwagą, to coraz częściej przestają. Znudziło im się. Bawią się samochodami, domkami, daczami, ogródkami, niektórzy nawet z prawdziwego zdarzenia samolocikami, jakby wracając do dawno już minionych lat. Zabawki jakby inne, niby większe, ale zawsze to jednak zabawki. Jest też pewna grupa bawiąca się takimi brzęczącymi drobiazgami, ale już coraz mniej, bo założyli im karty, konta i inne środki, pozbawiając tej niewątpliwie od setek lat ciągnącej się słabości, ale też przyjemności.

W marcu 2025 roku dowiedziałem się o wydanej w 2023 roku przez Instytut Śląski w Opolu broszurze autorstwa Magdaleny Przysiężnej-Pizarskiej zatytułowanej *Grodziska wczesnośredniowieczne na Opolszczyźnie. Miejsca pamięci po ośrodkach władzy wczesnośredniowiecznej i średniowiecznej na Śląsku Opolskim*. Postanowiłem do niej zajrzeć, gdyż dobrze znałem

publikację z 1977 roku omawiającą tego typu obiekty obronne (Józef Kaźmierczyk, Klemens Macewicz, Sylwia Wuszkan, *Studia i materiały do osadnictwa Opolszczyzny wczesnośredniowiecznej*). W pierwszej połowie lat siedemdziesiątych uczestniczyłem w wielu inspekcjach, badaniach sondażowych i pomiarach wzmiankowanych w niej grodzisk. Już w tytule zauważyłem błąd często popełniany przez archeologów, a mianowicie rozdzielanie średniowiecza na wczesne średniowiecze i średniowiecze. Poza tym byłem ciekaw nowszych badań i literatury uzupełniającej. Minęło przecież prawie 50 lat. Po przejrzeniu kilkunastu stron z opisami stanowisk informacje o grodziskach wzbudziły we mnie podejrzenie. Jakbym te teksty skądś znał. Porównałem opisy w obu publikacjach i zdziwiłem się niepomiernie. Były bardzo często identyczne. Ktoś tu od kogoś zerznął na żywca. W tym wypadku wiadomo i kto, i od kogo. Zdarza się to, niestety, coraz częściej. Jak by nie było, dosłowne, słowo w słowo, przepisanie kilkudziesięciu wielozdaniowych akapitów powinno być opatrzone cudzysłowem i przypisem, skąd dany fragment został zaczerpnięty. Uwzględnienie literatury w zbiorczym zestawieniu na końcu niczego tu nie zmienia. Powoływanie się przez autorkę na rodzaj pracy (popularna) także. Winę za to, delikatnie mówiąc, niedopatrzanie, zwane po prostu plagiatem, należy „zwalić” w różnych częściach na twórców tego swoistego rodzaju majstersztyku: w największej części na autorkę, w trochę mniejszych dawkach na recenzentów (zupełnie niewłaściwie dobranych i niekompetentnych w sprawach tam poruszanych) i Instytut Śląski. Opinia o tej pracy przedstawiona przez prof. Hannę Kóćka-Krenz jest nieporozumieniem, również dosyć często przytrafiającym się niektórym ekspertom. Sprawa ta jest szeroko komentowana w opolskich witrynach internetowych. O broszurze napiszę więcej w zakładce „O archeologii”.

Tak czytam i czytam, skończyć nie mogę. Bez czytania żyć nie dam rady. Inni mogą, i to znacznie lepiej ode mnie. Przysłowiowa krew mnie zalewa, gdy czytam niektóre internetowe wieści. Najgorsza jest jednak woda. Ta się leje bez umiaru. Wody coraz więcej, a treści mało. Zatopiona, ledwo wystaje ponad jej powierzchnię. Czuję się tak, jakby cały czas był śmigus-dyngus. Leją w każdym artykule. Na portalach, stronach, witrynach internetowych, jakkolwiek by je zwać, leją. Tłumaczą się w różny sposób, zastanawiają się, jak lania uniknąć. Na próżno. Ja przecież też leję wodę, choć staram się ją oszczędzać, przykręcając na dłużej kurek. I tłumaczę się tym, że tyłu już przede mną łało, teraz leje i będzie łało, że moich parę kropel niczego nie zmieni. W końcu kurek sam się zamknie albo ktoś go przykręci. Innych możliwości nie ma. Wszystko ma swój koniec.

Wszystkiego jest pod dostatkiem, jak się wielu Polakom wydaje. Komu dobrze, temu dobrze. Zacznijmy od zdrowia, bo ono najważniejsze. Lekarze alarmują ze wszystkich stron, że jest z nim źle. Lęk przed chorobami jest powszechny. Ludzie boją się nowotworów, udarów mózgu, Alzheimera, chorób wieńcowych, depresji i wielu innych, a co z nimi związane, niepełnosprawności. Boją się też uzależnienia od innych, utraty dochodów, a nawet śmierci. Strach przed nimi i innymi zagrożeniami jest powszechny. Z nadciśnieniem boryka się już kilkanaście milionów, z podwyższonym cholesterolem chodzi prawie 20 milionów. O wielu chorobach obejmujących „tylko” parę milionów nie mówię. 26% osób cierpi na zaburzenia psychiczne i jest coraz gorzej. Otyłość to zhora Polaków. Dopadła ich właśnie równoległe z dostatkiem. Według danych GUS-u z 2022 roku 20% rodaków jest otyłych, według innych danych z 2024 roku już co czwarta, a ponad połowa ma nadwagę. 2,5 miliona żyje już w skrajnym ubóstwie, a 17 milionów poniżej minimum socjalnego (według doniesień Wirtualnej Polski). Piszą też o tym inne media. Głód dotyka 1,4 miliona ludzi, a ponad 300 tysięcy dzieci skrajne ubóstwo. O niedożywionych pociechach się nie mówi, szacuje ich na około miliona. Jeszcze bardziej bieda dotyka seniorów, często jest tragiczna. Bieda emerytury dostają setki tysięcy. A tych z niewiele większymi można liczyć w milionach. 30 tysięcy bezdomnych to

niby niewiele, ale jednak. Zostawmy coraz gorsze zdrowie i coraz bardziej piszczącą biedę. Skierujmy się w stronę innych zagrożeń społecznych. Bezrobocie, przestępczość, korupcja, setki innych patologii. W wielu statystykach krajów europejskich zajmujemy ostatnie miejsca. Z każdym rokiem umiera nas więcej, a mniej rodzi. W końcu 2024 roku zadłużenie Skarbu Państwa wynosiło 1 bln 572,6 mld zł. Jak się ono ma do długów z czasów PRL-u? Kult pieniądza i kapitalistyczny konsumpcjonizm doprowadził nie tylko do dobrobytu, ale wyrządził wiele jakby nieoczekiwanych przez Polaków szkód. Dość. To tylko taki króciuteńki obrazek kapitalizmu polskiego, który akceptowaliśmy po 1990 roku. A miało być tak dobrze.

Z racji stosowanej diety znam mniej więcej składniki produktów wymienione na opakowaniach. Od czasu do czasu je sprawdzam, ale podawane tam wartości nie odpowiadają właściwym, już na pierwszy rzut oka. Podam dwa przykłady. Jeden to sok z kiszzonej kapusty, na którym podano wartość węglowodanów 6,9. To niemożliwe. Sprawdzam. Nie widzę żadnych dodatków. Dzwonię do producenta i pytam go, dlaczego tyle ich jest. Usłyszałem, że u nich prawdopodobnie są słodsze kapusty. Ponieważ głos męski w telefonie był też słodki, pomyślałem, że może rzeczywiście jedzący to znakomite warzywo zjadał je z firmowych upraw w dosyć dużych ilościach. A drugi to mrożonka składająca się z następujących warzyw: marchwi, fasolki szparagowej, kalafiora, brukselki, pora, selera i kalarepy. Wartość węglowodanów w 100 g wynosiła 3,9 g. To niemożliwe. Wszystkie wymienione warzywa mają ich od 5 do 8,7 g. Przeciętne to około 7 g, a na opakowaniu 3,9. Białko też trochę obniżone. Tak na oko sobie wpisują. Kto to sprawdza? Dla „ketonowców” to spory nadmiar w diecie.

Wracam do lat szkolnych. To była pierwsza połowa lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Plac przed strażą pożarną w Krotoszynie, przy ulicy Koźmińskiej. Batami podkręcaliśmy co chwilę wirujące, małe, drewniane bączki. To popularna wówczas zabawa chłopaków z pierwszych klas szkoły podstawowej. Podchodzi do nas jakiś dziwny facet, koło trzydziestki, może młodszy, i coś bełkocze, mówi niezrozumiale. Jakiś wariat? Ale zaczął machać zwitkiem papierowych pieniędzy. Zainteresowaliśmy się propozycją. Poprosił nas trzech. Poszliśmy za nim do najbliższej ulicy w prawo i dalej za drewniany kościółek. Około 20 metrów od niego w kierunku stawu położył się i zaproponował nam nasikać mu do ust. Nie pamiętam już naszej pierwszej reakcji, ale nie wydała nam się ta propozycja dziwna, nawet niczego sobie, tym bardziej że była poparta odpowiednim wynagrodzeniem. Stanęliśmy obok siebie i staraliśmy się wywiązać z nałożonego zadania jak najlepiej. Chlupotało, pieniało się. Jednak nasze „kurki” nie były wtedy zbyt wysoko i poszło nieźle. Skończyliśmy, a on chce powtórki. Powiedzieliśmy, że przecież, co się dało, to poszło. Nalegał, więc zrobiliśmy drugą rundę. To były tylko nędzne resztki. Wstał, wziął czapkę (gruba, czarna z daszkiem) i pokazał nam krzaki w odległości kilkudziesięciu metrów. Nie wiedzieliśmy, o co mu chodziło, ale po chwili kapnęliśmy się, że chce, abyśmy mu wyrznęli do czapki kupę. To jednak wydało nam się podejrzanym i nie zgodziliśmy się. Nie upierał się. Zażądaliśmy jednak zapłaty za solidnie, naszym zdaniem, wykonaną usługę. Wyciągnął zwitek pieniędzy i poprowadził nas na powrót do skrzyżowania z ulicą Koźmińską. Tam zatrzymaliśmy się, on coś bełkotał, machał rękami i banknotami, a za chwilę powoli zaczął się oddalać i nagle nogi za pas, dał dyla. Szans nie mieliśmy, aby go dogonić. Trudno. Zostaliśmy wykiwani. Strat wielkich nie było, poza wypróżnieniem pęcherza. To drobiazg. Wróciliśmy do przyjemniejszej zabawy przed strażą pożarną.

Dbalność o zdrowe powietrze dzisiaj jest znaczna. Gorzej z jej przestrzeganiem. Tak sięgam pamięcią do czasów PRL-owskich. Wtedy królował przemysł ciężki. Huty, kopalnie i inne zakłady produkcyjne kopcące, „zapyłające” atmosferę chyba wszystkimi pierwiastkami znanymi na naszej planecie. O słynnych dymkach szopienickich było głośno, może z pewnym opóźnie-

niem, ale jednak. Przypominam sobie Zakłady Cynkowe na Wełnowcu. Tam było niebieskie powietrze. Zdarzało mi się przejeżdżać obok i w dzień, i w nocy. Piece pracowały pełną parą. Ogień i dym. Wiatry najczęściej od zachodu przepędzały smród w kierunku Dąbrówki Małej i Sosnowca. Nie lepsze kłęby barwnego dymu nawiewane na Katowice z chorzowskiej huty „Kościeszko”. Czy ktoś wówczas prowadził jakiegokolwiek pomiary powietrza, a tym bardziej informował o nich mieszkańców miast?

Nie ma jak pociąg. W powojennych latach nie było u nas tylu samochodów i podróżowało się najczęściej pociągami. Jako mały chłopak też nimi jeździłem. Były wówczas 3 klasy. Pamiętam dworzec w Krotoszynie, z którego rozpoczynałem wojaże. Zawsze z mamą, co jest zrozumiałe, bo byłem zbyt mały na jazdę samemu. Dworzec podobny do innych, ceglany, dzisiaj byłby zaliczony do zabytkowych. Perony też z charakterystycznymi wówczas dachami. W tamtych tuż powojennych latach tak wyglądała większość. Na przodzie składu lokomotywa. Para buchała, dym z komina także, a w środku maszynista i palacz. To mi się podobało, aczkolwiek nie marzyłem o takiej pracy. Wagony ze schodkami. Przedziały otwarte, drzwi do nich nie przypominam sobie, chyba nie było, siedzenia drewniane, na górze miejsca na bagaże. Okna otwierało się, kręcąc u dołu korbką. Mam w oczach wnętrza tych wagonów osobowych, lecz przyznam się, że nie potrafię ich dokładnie opisać. Mama czasami jeździła ze mną na gapę, bo chowała mnie, przykrywała przy kontroli biletów. A ja robiłem, co mogłem, aby mnie nie było widać. W każdym razie tak to dziś pamiętam. Jeździliśmy do Śremu, z przesiadką w Jarocinie, ale też kilka razy do Katowic, ponieważ tato pracował jako kierowca w Łazach i tam czasowo przebywaliśmy. Monotonny stukot kół pociągu, był charakterystyczny podczas jazdy koleją. Wtedy nie było szyn bezстыkowych. Na ogół przeszkadzał w spaniu, ale jakoś ludzie wytrzymywali. Przyzwyczaili się do niego. Być może, czasami usypiał. Z wagonu do wagonu przechodziło się po otwartej platformie, czasami bez osłony. W pociągach dalekobieżnych, szybszych, boki były w rodzaju harmonijkowatej osłony. Zimą hulał tam wiatr i zacinał śnieg. W środku było ciepło. Pod tym względem pasażerowie byli zadowoleni. Z rzadka zdarzały się awarie. Do dalszych kolejowych wspomnień jeszcze powrócę.

Czy ktoś policzył naukowców na całym świecie? To na pewno jakaś astronomiczna liczba. Można ich ustawić w pierwszym szeregu wybijających się zawodów obok lekarzy, polityków i ostatnio wzrastających w siłę informatyków. Każdy mógłby dołożyć wielu innych. Ekspertów, gwiazd i im podobnych też mnóstwo, ale czy to zawody? Naukowcy jak to naukowcy ciągle coś badają. To całkiem dobra fucha. Mogą ciągnąć w nieskończoność. Tak im się to podoba. Lepiej powodzi się tym o zamięłowaniach technicznych, a gorzej humanistycznych. Tak okraciem między nimi „siedzą” medycy. To niby naukowcy, ale nie jestem tego pewien. Od dawien dawna przemysłiwają, jak długo człowiek może żyć. Radzą innym, jak dobrać, a może dopełnić, a jeszcze lepiej utrzymać się przy życiu do setki, a nawet dłużej. Ciągle od dorosłości czytam te same propozycje. Bajają coś o stylu życia, ruchu, najlepiej ciągłym, bez siedzenia, o jedzeniu (oczywiście zdrowym, tylko kto wie, co takowe oznacza), dietach, unikaniu stresu, wierze w Boga, genach, warunkach środowiskowych. Wyliczanka zajęłaby mi wiele stron. Utonąłbym w zalewie zasad, wskazówek, recept, reguł, pouczeń, zaleceń, nakazów, sugestii, podpowiedzi itp. Tego się nie da strawić do końca, a co dopiero zastosować w naszym „szaraczym” życiu. Dodają jeszcze życiu nie tylko długim, ale również zdrowym. Najchętniej jednak naciskają biedaków i nie biedaków na niekończące się badania i wizyty u nich, niemal zawsze kończące się przepisami na długie życie. Ja też trochę dołożę do tych wodolejców, pleciug, a tak, prawdę mówiąc, nudziarzy powtarzających i nawijających od niepamiętnych czasów ciągle to samo. Młodzi może ich słuchają, oni bzdury chłoną błyskawicznie, ale starzy mają dość. Co za dużo, to niezdrowo. I to powinni sobie wziąć do serca. Nie tylko oni. Zaleciłbym im lek

na wstrzymanie się od ustawicznego gładzenia na ten temat. Na wynalezienie takiego jeszcze się nie zdecydowali, aczkolwiek wiele instytutów badawczych mogłoby się tego podjąć. Nie chcą jednak zapewne, bo zbyt wiele dopadłoby ich skutków ubocznych. A tych chcą uniknąć za wszelką cenę. Wołają je, jako prozdrowotne, wpychać innym. Co optymistycznego wyłuskałem z tych opowieści, to to, że niektórzy, ale tylko niektórzy, zapewne mądrzejsi, proponują trochę winka. To jeden z nielicznych pozytywów ich propozycji na długowieczność. Od pozostałych alkoholi należy stronić. O tym starają się przekonywać pacjentów. Zdarza im się samym od czasu do czasu, mniej lub więcej, tego, czy owego chlapnąć. Oby tylko na zdrowie.

Kończy się pierwszy kwartał 2025 roku. Przeglądam jak niemal wszyscy witryny internetowe w poszukiwaniu interesujących mnie wiadomości. I tak co kawałek „nadziewam się” na różne końce. Nie wspominam o końcu świata, bo to rzecz banalna, zapowiadana prawie od początku świata. Wieszczą właśnie inne końce, także ciekawe, np. koniec smartfonów. To może się okazać niemal końcem świata dla niezliczonych już „komórkowców” i „smartfonowców”. Z końcami tak to już jest, że i one mają swoje, paradoksalnie rzecz ujmując, końce. Np. koniec końców, czyli jakby ostatecznie. Kto by o takich końcach myślał. Trzeba przyznać, że były już końce ostateczne, ale także słyszało się o nieostatecznych. Trudno się już w nich połapać.

Blue Screen dokuczał mi coraz bardziej. Po wymienionej kości pamięci RAM dalej się zawieszał. Jeden z informatyków uznał, że pojawiający się kod na ekranie świadczy, że to nie ona jest winna zaburzeniom. Ale było coraz gorzej. Poprosiłem o wymianę drugiej kości, żeby mieć pewność. Poza tym jak się wymieniło jedną, trzeba było sprawdzić też drugą. I to była dobra decyzja. Okazało się, że niebieski ekran zniknął. Już się nie pojawiał. Niestety, na jednej kości wszystko było spowolnione. Akurat w tym czasie zaczął mi się naprzykrzać komunikat o konieczności zainstalowania Windowsa 11. Zdecydowałem się, bo jest dostępna wersja bezpłatna. Słyszałem też, że jesienią ma już być Windows 12. Najlepiej gdyby co pół roku zmieniali. Komentatorzy jak zwykle podzieleni, tak że przestałem ich czytać. Nie warto im poświęcać wiele czasu, a nawet w ogóle żadnego czasu. Dokupiłem za radą informatyków dwie nowe kości, bo do poprzedniej nie mogłem dokupić takiej samej. I poprosiłem jednego z nich o zainstalowanie Windowsa 11. Być może, problemy znikną. Trzeba było wymienić procesor. Instalacja poszła gładko i na razie (jest początek kwietnia) wszystko gra.

Prezydentowi Andrzejowi Dudzie na koniec kadencji coś się marzy. Chce broni atomowej w Polsce. Czy to prezydencka zachcianka? A może stał się, jak inni prezydenci, bardziej wojowniczy i dąży do zwarcia. Pytanie, w którym imieniu: swoim czy państwa polskiego.

Uzależnienie to choroba. Jakżesz różne ma oblicza. Podam dwa przykłady. Pijaczek idący, jadący czymkolwiek nie zazna spokoju, nie da rady, dopóki sobie nie pociągnie. Z tego czy owego, ale ciąg na ogół jest dosyć mocny. Wyciąga to i owo i bul, bul, bul, czasami ukradkiem. Aż się nasyci, aż mu się zrobi dobrze. To jest nie taki najgorszy efekt pociągania. Kto by nie chciał sobie zrobić dobrze. Jest też druga grupa uzależnieniowa. I to jaka. Pandemiczna, masowa. Też noszą różne gadżety, może niepodobne do tych trunkowych, ale za to uzależniające chyba jeszcze bardziej. Ci się nie krępują, nie chowają ich przed innymi. Są otwarci. Jedni trzymają w kieszeni, inni w torebce, ale najczęściej nosi je na wierzchu. Tych postrzegam jako najbardziej chłonnych wszystkiego, a więc i najbardziej uzależnionych. Nie mogą schować, bo ciągle musieliby wyciągać, a to się przecież nie opłaca. I jest szybszy dostęp, co w dzisiejszych czasach jest bardzo ważne. Kto szybszy, ten lepszy

Rozmowa Wołodymyra Zełenskiego z Donaldem Trumpem była bardzo ciekawa. Dziennikarze wyrażali oburzenie. Ja nie. Tak powinny odbywać się wszystkie rozmowy. Przy otwartej

kurtynie, a nie w wąskim gronie towarzyszących im dziennikarzy. Ludzie mogą sobie wyrobić o nich poglądy, zamiast na podstawie często kłamliwych i sprzecznych doniesień. Zobaczyli, z kim mamy do czynienia i jak wygląda polityka. Jak się okazało, moim zdaniem, nad całą rozmową unosił się stosunek Amerykanów, a raczej jego obecnej administracji i jej zwolenników, do pieniądza. To on odgrywał w niej kluczową rolę. Sam konflikt, jego ofiary nie miały tu prawie żadnego znaczenia, stanowiły tło dla siły Trumpa (minerały i miliardy dolarów wypełniały jego wypowiedzi) i usłużnego mu zastępcy. Tu też można było zauważyć pojedynek dwóch na jednego, co też było dyskomfortem osamotnionego w tym względzie Żeleńskiego, ale jakoś to wytrzymał, nie załamał się. Wokół niego się wszystko kręciło. Ameryka jest pierwsza, bo ma pieniądze i będzie je rozdawać według swojego uznania. Inni niech się do tego nie mieszają. To oni i nikt inny prowadzą do III wojny światowej, po której ujrzymy, kto będzie na pierwszym miejscu. Czy słowa Trumpa (America First) się spełnią?

Czytam: bez GMO, bez zagęstników, bez glutaminianu sodu, bez laktozy, bez konserwantów, bez fosforanów, bez dodatku cukru, bez siarczynów, bez mleka w proszku, bez cukru, bez żadnych sztucznych dodatków, bez słodzików, bez barwników, bez sztucznych barwników, bez sztucznych aromatów, bez dodatku „E”, bez azotynów, bez soli peklującej, bez karagenu, bez glutenu, nabiału i cukru, Aż w końcu patrzę: bez czegokolwiek. Chyba mi się przywidziało. Bez względu na to, co tam piszą, i tak im nie wierzę. A umocniły mnie w tej wierze liczne sprawozdania Najwyższej Izby Kontroli (o wiele ich za mało) wykazujące poważne nieprawidłowości, a także komunikaty Głównego Inspektoratu Sanitarnego o szkodliwych substancjach odkrywanych coraz częściej w produktach (tych z kolei jest za dużo).

Z powodu małej skuteczności w leczeniu mnóstwa chorób ludzie coraz bardziej „uciekają” od lekarzy. Wielu schorzeń nie daje się wyleczyć. Medycy są bezradni. Ciągłe narzekają, nie mogą przyjąć do wiadomości, że zasłużyli na dosyć marną ocenę coraz większej grupy pacjentów. Wśród nich brylują młodzi ludzie z dostępem do globalnej sieci z anglojęzyczną literaturą. Ochrona zdrowia jest niewydolna. Ciągłe gadanie o złych nawykach i stylu życia, kiepskiej aktywności fizycznej, niewłaściwym odżywianiu, skażonym środowisku wielu ludziom już się przejadło albo wychodzi bokiem. Coraz częściej na pole walki z chorobami wkracza medycyna alternatywna. Coraz częściej ludzie sami muszą sobie jakoś radzić. Czasami mają do wyboru, czy się leczyć na jedną z chorób i być strutym przy okazji, czy zrezygnować z obdzielania go tzw. skutkami ubocznymi. Niedługo ludzi zdrowych nie będzie. Jak mu nie wpakują chemii z jedzeniem, to z lekiem. Skutki takiej „troskliwości”, podobno o zdrowie wszystkich, widać po kilkudziesięciu latach. Chorób zliczyć się nie da i ciągle pojawiają się nowe. Jest ich kilkanaście tysięcy, ale już szykuje się kilkadziesiąt tysięcy, ponoć ponad pięćdziesiąt tysięcy. Kto to policzy? Niczego nie rozumiem. Świat miał być lepszy, tak nam go się od lat „malowało”, a jak wygląda. Chyba już nie znalazłby się jakiś tęgi mózg potrafiący na iluś tam tysiącach stron wymienić zło i bolączki tego świata. Ktoś powie, że zawsze tak było. Prawda, ale tylko częściowa, bowiem skale wszystkiego zostały znacznie przekroczone.

To były czasy, to było dzieciństwo. Jeżdżąc na rowerach, nie mieliśmy głów opakowanych kaskami. Mimo że chodziliśmy do szkoły w soboty, mieliśmy czas na spotkania, gry i zabawy. Jedliśmy w domu obiady przygotowywane przez mamy, które nauczyły się gotować przed wojną, a sporządzały wspaniałe dania, nie wysypując do nich wszelakich świństw, tak dzisiaj popularnych i zalecanych przez kuchennych celebrytów. Po czasie spędzonym na dworze bardzo nam smakowały. Nie chodziliśmy na szybkie jedzenie (hamburgery, hotdogi, chipsy, pizze i inne) przetworzonej, niezdrowej żywności z prostej przyczyny. Wtedy jeszcze do nas nie dotarła. I całe szczęście. Wodę piło się z kranu, z rozmaitych kokotków, węży

ogrodowych, wodę z bąbelkami z saturatorów ulicznych bądź z wymiennych syfonów szklanych. Nikt nie zanieczyszczał środowiska butelkami plastikowymi, bo ich nie było. Z jednej szklanej butelki czasami pociągaliśmy wszyscy i nikt nie chorował. Słodczyce też były niezłe. W latach pięćdziesiątych landryny, dropsy, irysy, kanoldy, potem chałwy, znakomite wyroby firm krajowych (Goplana, Wedel, Wawel, Jutrzenka, Śnieżka i inne), świetne krówki, michałki i gryłażowe, wafle. O lodach nie mówię, ale tych 10-gałkowych sprzedawanych w latach sześćdziesiątych we Wrocławiu, w pawilonie przy ulicy Świerczewskiego, nie mogę do dziś zapomnieć. W latach dziewięćdziesiątych wiele polskich firm z tradycjami upadło, a ci którzy je przejęli, wykupili i spaskudzili co tylko mogli. Wszystkich łakoci nie podołam wymienić, a część z nich już uleciała z pamięci. Od czasu do czasu popijaliśmy oranżadę w proszku i lemoniadę. Placki i naleśniki w zwykłych barach, czasami samoobsługowych, smakowały równie wspaniale. Ciągłe byliśmy aktywni, w domu mało kto usiedziało, tyle się działo na dworze, wracało się dopiero wieczorem. Jakichś alergii na kurz, potrawy, mleko i wiele innych rzeczy nie przypominam sobie. Zimą czepialiśmy się z tyłu samochodów za klapy i przykucnięci przejeżdżaliśmy tak na mrozie i nieodśnieżonej, ale ubitej drodze długie dystanse. I nikt nas za to nie karał. Do tramwajów wskakiwaliśmy w czasie jazdy. Drzwi nie były zamykane, tą samą drogą wyskakiwało się podczas jazdy, jak trzeba było, i nic nam się nie stało. Mróz nie był nam groźny i nie byliśmy takimi zdechlakami jak dzisiejsi rówieśnicy. Nikt nie wiedział, gdzie łązimy, co robimy, nikt nie sprawdzał nas przez komórkę czy smartfona. Byliśmy prawie anonimowi, wolni, dawaliśmy sobie radę, nie pytaliśmy innych, jak gotować jajka i tysiące innych rzeczy. Nie zadawaliśmy głupich pytań, od których rojno w sieci. Kolana poszarpane, łokcie pokiereszowane, ręce podrapane i jakoś się goiły polane wodą bez pomocy lekarskiej. Latem w pociągu na kąpielisko, siedząc na stopniach, machając opuszczonymi nogami, nikt nas nie pouczał, ściągał czy rugał za to. Gry, ćwiczenia, zabawy i gimnastykę uprawialiśmy na powietrzu, a nie w zamkniętych siłowniach pełnych potu, środków zapachowych i dodatkowo klimatyzowanych. W samochodach nie było pasów bezpieczeństwa i wypadków niewiele (co prawda samochodów też, ale jednak). Nie było igieł jednorazowych, tyłu lekarstw, środków czyszczących i mało kto chorował. Nastolatki z kilku okolicznych ulic się znali, umawiali na towarzyskie spotkania i było wesoło. Nasi rodzice również przekomarzali się i przyjaźnie dyskutowali przy często nadążających się okazjach. Nie było widać takiej różnicy międzypokoleniowej. Dziś jedni i drudzy się nie znają i nie mają na nic czasu. Psycholodzy i psychiatrzy nie mieli tyłu pacjentów co dzisiaj (o nożownikach nikt nie słyszał). Jak była deszczowa pogoda, spędzaliśmy czas na grach domowych, a było ich sporo (warcaby, szachy, bierki), rznąliśmy namiętnie w karty (skat, brydż, oczko i inne). W pociągach okna się otwierały, można było wyrzucić, a nie siedzieć jak dzisiaj w klatkach. Jedliśmy prawie wyłącznie zdrowe pokarmy, nie faszerowane chemikaliami i dosmaczane w niedozwolony sposób. Kamer śledzących nas na każdym kroku nie było. Czuliśmy się swobodnie, robiąc to, na co mieliśmy ochotę. Mamy przygotowywały takie dania, że dzisiejsi smakosze pojęcia o nich nie mają. Pierogów, bigosu, żurku i wielu innych potraw nie wymyślono dzisiaj, a te dzisiejsze mogą się schować przed tamtymi. Chleb wyrabiany w piekarniach był znakomity, popsuł się, kiedy wychodził jak spod sztancy w piekarniach zwanych gigantami. Wszystko się zaczęło psuć po wprowadzeniu maszyn, które tak mieszały pieczywo, że nikomu nie smakowało. Piekły dalej liczne małe piekarnie. Nikt przygotowujący jedzenie w zakładach zbiorowego żywienia nie wciągał rękawiczek (nie widziałem na koloniach kucharek oblepionych rękawicami, w sterylnych kitlach), i o dziwo nie chorowaliśmy tak jak dzisiaj.

Spotkałem niedawno sąsiada idącego na spacer. Powiedział mi, że dzisiaj musi zrobić 8 tysięcy kroków. Tak mu lekarz zalecił. No to ja mu chlapanłem, że jest głupi, dał się omamić itp., i oberwałem z nawiązką. Co chwilę wraca temat o głupocie. Więcej jest głupich czy mą-

drych? Czy człowiek jest mądry bądź głupi z natury (od urodzenia) czy dopiero później, wolniej albo szybciej głupieje bądź mądrzeje? Czy w ogóle głupi może zmądrzeć, a mądry zgłupieć? A może mądrość i głupotę mamy w genach? Czy do obu można „dojść”, czy też chociażby się zbliżyć. Dlaczego ludzie mądrzy byli i są karani, a głupi nie? Jak głupiemu wytłumaczyć, że jest głupi? A jeszcze lepiej, jak mądrymu przekazać, że jest głupi? Czy można mądrze gadać, a głupio robić? I odwrotnie? Czy można być równocześnie mądrym i niemądrym? Albo inaczej: czy mędrzec może być głupi, a głupiec mądry? Czy mądry powie o sobie, że jest mądry, a głupi, że jest głupi? Można rzec: mądry może być głupszy od głupiego, a głupi mądrzejszy od mądrygo. Zasadne jest też, wbrew pozorom, pytanie, czy lepiej być mądrym czy głupim? I kolejne: czy lepiej się żyje mądrymu czy głupolowi? Czy głupiec może uważać się za mądrygo, a tym bardziej mędrzec za głupiego? Ograniczyłem się do niewielu pytań dotyczących mądrości i głupoty i doszedłem do wniosku, że wszystko na tym świecie jest możliwe, czyli i mądre, i głupie. Najprostsza, nieskomplikowana, czyli zrozumiała przez każdego odpowiedź to: mądry to mądry, a głupi to głupi. I problem z głowy. Na tych „mądrościach i głupotach” poprzestanę. Na razie.

Przychodzi staruszka do lekarza, w moim wieku, tzn. staruszka jest w moim wieku, a lekarz zaraz po studiach. Panie doktorze, ostatnio zrobiłam dziesiątki badań na skierowanie od lekarza rodzinnego. Może pan spojrzeć na wyniki i je ocenić? Doktor spojrzął i rzekł: Oj, proszę pani, cholesterol za wysoki. Ale ja zawsze taki miałam – odpowiedziała. 230 to za dużo, wyraźnie powyżej dopuszczalnej normy – lekarz do niej. To co mam robić? Tylko statyny pomogą w takiej sytuacji. No dobrze, ale jak długo mam je brać? Do końca życia, proszę pani. A co z cukrem? Też za wysoki, przepiszę pani lekarstwo. A to jak długo będę musiała brać? Też do końca życia. Ostatnio miałam mierzone ciśnienie i było 160/90. Za wysokie. Trzeba włączyć lek na nadciśnienie. A ten jak długo musiałabym przyjmować? Do końca życia. Panie doktorze, do tej pory czułam się bardzo dobrze, wydawało mi się, że nic mi nie jest, że jestem zdrowa, dopiero, jak poszłam na badania, dowiaduję się, że jestem chora, i będę musiała – jak pan mówi – łykać tyle pigułek. Tak sobie jednak teraz pomyślałam, że koniec już bliski, więc nie będzie mnie to zbyt wiele kosztowało, chyba że leki je przedłużą. W pani wieku trzeba dbać o zdrowie szczególnie, kontrolować je ustawicznie, czyli badać się jak najczęściej – to ostatnie słowa młodego medyka. A moje, dziadkowe zapewnienie: nie trzeba było babciu włączyć się po lekarzach, jak ci nic nie dolegało. Po co ci to było? Dożyłabyś setki, żyła szczęśliwie, a teraz, jeśli się zastosujesz do lekarskich wskazówek, to już będzie, jak po równi pochyłej, z wiadomym zakończeniem.

Napisał wiosną 2025 roku Eugeniusz Tomczak

© Copyright 2025 by Eugeniusz Tomczak